

Sprawiedliwość społeczna zamiast solidaryzmu

1 sierpnia 2011

Żeby dokonać znaczącej reorientacji polityki społeczno-gospodarczej, nie mówiąc już o zmianie modelu państwa, trzeba mieć za sobą zbuntowane masy, a nie na sznurki powiazaną koalicję.

Nic to, że ludzie głosowali na lewicową retorykę braci Kaczyńskich czy buntownicze tyrady Andrzeja Leppera. Wszystkie trzy partie koalicyjne, które miały zaprowadzić Polskę Solidarną, nie odbiegały konstrukcją od reszty sceny politycznej. Nawet Samoobrona, która rozpoczynała jako ruch oddolny, bardzo szybko przywdziała garnitur i weszła w buty biurokracji PSL-owskiej. Okazało się, że lokalnym działaczom chodzi o władzę i pieniądze, a nie o żadne zmiany. Bojownicy z czasu blokad musieli ustąpić miejsca napływającym szeroką rzeką karierowiczom, sponsorom, którzy władzy raz zdobytej ani myśleli oddawać. Nawet więc gdyby Andrzej Lepper nie pokochał tak bardzo drogich garniturów, limuzyn i tytułów, to i tak stałby się zakładnikiem własnego aparatu, kierującego się czystym egoizmem, nie zaś dobrem społecznym czy jakąkolwiek ideą.

Bracia Kaczyńscy zrobili duży numer, obchodząc SLD z lewej flanki, ale był to wybieg taktyczny, a nie żaden przełom programowy. Skrzydło liberalne jest w PiS z pewnością najmocniejsze – gdyby było inaczej, partia nie miałaby tych wszystkich pieniędzy na kampanię. Obsesyjne skupianie się na „walce z układem” było największą słabością intelektualną tej konstrukcji. Kaczyńscy umieli dostrzec niesprawiedliwość, ale nie potrafili jej przypisać systemowi. Stąd teorie spiskowe i paranoiczne tropienie agentów, mimo że winni sytuacji społecznej byli bardzo blisko, np. wśród sponsorów ich kampanii wyborczych.

Gdyby np. traktowali poważnie swoje zamierzenia w zakresie budowy mieszkań, musiałyby to oznaczać starcie się z potężną grupą interesu, jaką są banki żyjące z kredytów hipotecznych oraz deweloperzy. Do niczego takiego nie doszło. Polska Solidarna to chadecki humbug, podobnie jak społeczna gospodarka rynkowa. Bracia byli gotowi na likwidację WSI i bardzo się dziwili, że po wykonaniu tego zadania Polska nie stała się ani trochę bardziej solidarna. Bo solidarność może się przejawiać w systemie podatkowym oraz konstrukcji budżetu, a tu żadnych godnych zauważenia zmian na lepsze nie było. Przeciwnie, finanse publiczne pod wodzą pani Gilowskiej dryfowały w dotychczasowym, niesolidarnym kierunku, polegającym na negatywnej redystrybucji i malejącym udziale budżetu w rosnącym PKB. Okres rządów egzotycznej z pozoru koalicji był przy tym tak burzliwy i obfitował w tyle objawów koalicyjnej nielojalności ze strony PiS, że niemożliwa była realizacja jakiegokolwiek – złej czy dobrej – wizji ustrojowej. Gdyby oczywiście istniała taka wizja, czyli coś ponad wyborcze gruszki na wierzbie.

Polska Solidarna to pojęcie wydumane, u którego podstaw leży naiwna wiara w możliwość sprawiedliwego ładu społecznego, utworzonego na bazie wspólnoty, jaką jest Polska – Naród. Od kwietnia 1997 r. mamy, przynajmniej formalnie, jakieś reguły gry, zbiór norm, którymi powinien się kierować ustawodawca, a także władza wykonawcza. Analiza tego zbioru ma znaczenie nie tylko teoretyczne, zważywszy na wymóg zgodności ustaw z Konstytucją. Ustawa zasadnicza jest też, co równie ważne, pierwszym manifestem ideowym nowego ustroju. W akcie tym ani razu nie pada słowo „społeczeństwo”.

Jest więc Rzeczpospolita „dobrem wspólnym wszystkich obywateli”, ale jedynym, co tych obywateli spaja, jest wspólna tożsamość narodowa, bo skoro nie ma społeczeństwa, to i o więziach społecznych trudno mówić. Władzę sprawuje właśnie naród, który w myśl stwierdzenia Preambuły jest tożsamy z „wszystkimi obywatelami Rzeczypospolitej”. Tym jednym ruchem

zapisano do niego również mniejszości narodowe, w tym wyodrębniającą się dynamicznie mniejszość śląską. Tak sztucznego zabiegu dokonano, żeby poza narodem, podmiotem o określonej tożsamości kulturowej, religijnej i historycznej, nie wprowadzać żadnej innej kategorii wspólnoty, aby Konstytucja mogła chronić nie społeczeństwo, lecz każdego obywatela z osobna, jako jednostkę.

Szczególne znaczenie w kontekście innych ustaw zasadniczych ma zabarwienie słowa „naród”, które w językach zachodnich oznacza jednocześnie grupę etniczną o określonej tożsamości i po prostu lud. Stąd tym samym słowem posłużyli się ojcowie-założyciele w Konstytucji Stanów Zjednoczonych: We the People – My naród/lud, oraz demonstranci w latach 60., głosząc hasło power to the people – władza dla ludu. Po rosyjsku można powiedzieć raboczij narod i oznaczać to będzie lud roboczy, nie naród. Ten ostatni w polskiej tradycji był szlachecki, we współczesnej Polsce zatem, wbrew istocie idei demokracji, władza nie należy do ludu. Słowo „społeczeństwo” znikło też z debaty publicznej, zastąpione właśnie narodem lub „Polakami”, odmienianymi przez wszystkie przypadki w przemówieniach polityków dowolnej orientacji.

Skoro więc władzy w państwie nie sprawuje lud, tylko podzielony na jednostki naród, to i pojęcie społecznej gospodarki rynkowej wydaje się być do Konstytucji wstawione niczym nie pasujące ciało obce. Nie stoi ona bowiem na straży żadnej innej własności poza prywatną, poświęcając jej dużo miejsca. Tymczasem sensem społecznej gospodarki rynkowej jest harmonijne współistnienie własności prywatnej obok spółdzielczej, stowarzyszeniowej, komunalnej czy państwowej. Fakt objęcia konstytucyjną ochroną jednej formy własności z pominięciem pozostałych wskazuje na oczywistą dyskryminację i zadaje kłam odwołaniu do społecznego charakteru gospodarki rynkowej w Polsce. Nic dziwnego, że pod rządami takiej ustawy zasadniczej majątek narodowy podlega stałemu uszczuplaniu na rzecz prywatnych właścicieli.

Konstytucja obiecuje też chronić Polaków za granicą, weteranów walk o niepodległość oraz inwalidów wojennych, ale nic nie wspomina o ludziach niezamożnych czy zagrożonych lub dotkniętych wykluczeniem społecznym. Zaledwie napomyka o tak elementarnych kwestiach, jak prawo do pracy, edukacji, zabezpieczenia społecznego, dachu nad głową, za to dopuszczalny poziom długu publicznego określa dokładnie, w procentach. Te niespójności i niekonsekwencje nie są bynajmniej wyłącznie wynikiem kiepskiej pracy Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, ale przede wszystkim skutkiem przyjęcia ideologii neoliberalnej za podstawę najwyższego aktu prawodawczego w państwie.

Nie istnieje żaden naród o spójnych interesach. Są wygrani i przegrani, krzywdzący i krzywdzeni, bogaci i biedni. Globalizacja narzuca pewien model podporządkowania interesów gospodarczych państw strategiom i zyskom ponadnarodowych korporacji, ale porządek wewnątrz kraju wciąż ma charakter klasowy. A klasa uprzywilejowana świetnie wychodzi, przynajmniej na krótką metę, na wyprzedaży interesu własnej gospodarki. Główne dziedziny, w których dokonuje się przyspieszona akumulacja kapitału (banki, sieci handlowe, fundusze emerytalne, ubezpieczenia) zostały już oddane w ręce korporacyjne i procesu tego nie da się odwrócić aktami politycznymi. Klasa polskich właścicieli sama się marginalizowała, stając się grupą raczej rentierów niż inwestorów.

Zamiast szukać spisków wewnątrz kraju, należało śledzić powiązania z międzynarodowymi korporacjami – nie agenturalne, lecz kapitałowe. Gdyby jednak istniała licząca się grupa polskich kapitalistów, to doświadczenie pokazuje, że tak samo nie miałaby litości dla ludzi pracy, jak kapitaliści zagraniczni. I nie ma w tym żadnego spisku – na tym polega kapitalizm. A zatem nie ma nic do zrobienia dla większej spójności społecznej w ramach filozofii solidaryzmu społecznego.

Szczerze mówiąc, aksjologia leżąca u podstaw koncepcji Polski Solidarnej to nacjonalizm i ja akurat nie optuję za tym, żeby się do niej odwoływać. Jest to w istocie moralność Kalego, tylko na skalę grupy narodowej. Czyli obrzydliwość. Kiedyś byłem w kościele – oczywiście w okresie walk o demokrację – na wykładzie o społecznej nauce Kościoła. Wykład prowadził Michał Boni. Na moje pytanie, co powinien robić dobry Polak-katolik, gdy okaże się, że pracodawca nie kieruje się tą doktryną? Usłyszałem, że trzeba zrobić wszystko, aby się nią kierował. Tego rodzaju katechizacja bogatych prowadzona przez ubogich nie wydaje się sensowna, tak jak i cała doktryna solidaryzmu.

Oczywiście można sobie wyobrazić atrakcyjną dla społeczeństwa wizję polityczną. Będzie to wizja Polski socjalnej, czyli wychodząca z założenia, że istnieje coś takiego jak społeczeństwo, a nie tylko zbiór jednostek, zantagonizowanych i konkurujących ze sobą zaciekle. Spójność takiej zbiorowości będzie tym większa, im mniejsze będą różnice majątkowe, im mniejsze rozwarstwienie, zaś jej spoiwem zasada współpracy, a nie rywalizacji. Wymaga to jednak istnienia w sferze intelektualnej projektu tak skonstruowanego społeczeństwa, a więc inteligencji, która będzie taki porządek wymyślać i proponować. W czasach poselskich zaproponowałem wszystkim znacznijszym politykom społecznym spotkanie pod egidą prezydenta Kwaśniewskiego i powołanie przy jego urzędzie Rady Konsultacyjnej ds. Polityki Społecznej. Zainteresowanie wyraził tylko jeden – prof. Julian Auleytner. Pozostali obawiali się utraty łask Komitetu Badań Naukowych, który był już pod kontrolą rządu AWS. Auleytner się tego nie obawiał, bo był właścicielem uczelni, na której wykładał.

Kiedyś społeczeństwo podążało za intelektualistami, wizjonerami takimi jak Mickiewicz, Towiański, Słowacki, Żeromski. Oni też zawieszali poprzeczkę politykom. Dziś to inteligenci z tytułami podążają jak barany za politrukami w rodzaju Adama Michnika. Nieliczne wybitne autorytety naukowe i

moralne, takie jak Zygmunt Bauman czy prof. Mieczysław Kabaj (w wiecznych rozjazdach), pozostają poza krajem i jego duszną atmosferą służalczości wobec kapitału i jego politycznych kelnerów: posłów, ministrów, premierów czy prezydentów. Autorytet powstaje podczas dyskusji na agorze, u nas jest tylko spółka Agora, która swobodną dyskusję uniemożliwia. Nie wątpię jednak, że przestrzeń dialogu otworzy jakiś nowy ruch społeczny, który skutecznie przeciwstawi się neoliberalnemu barbarzyństwu. Wraz z ruchem wyłonią się postaci, za którymi ludzie zechcą podążyć. Ale to jeszcze przed nami.

Polska Solidarna to mit i to wcale nie niewinny. Sugeruje on, że zamiast walki klas potrzebne jest zespolenie wysiłków wszystkich dobrych patriotów. Taki horyzont jest sztuczny i przysłania istotę konfliktu społecznego między tymi, których owoce pracy są zawłaszczane, a tymi, którzy je zawłaszczają. Dlatego należałoby tę koncepcję raczej zwalczać niż kombinować, jak ją wcielić w życie. Zawarty w niej neoliberalizm i nacjonalizm są przeszkodą na drodze do urzeczywistnienia bardziej egalitarnego modelu społeczno-gospodarczego.

Dopóki ludzie będą pozwalać na dzielenie ich na „komunę” i „Solidarność”, wierzących i niewierzących, sposobem kanalizowania niezadowolenia społecznego będzie eksploatowanie konfliktów zastępczych. Przez długi okres po 1989 r. był to konflikt historyczny zwolenników „Solidarności” oraz „komuchów”, czyli ludzi identyfikujących się z poprzednim systemem. Z punktu widzenia interesów świata pracy był to konflikt całkowicie sztuczny, choć chętnie podtrzymywany przez elity. Zarówno bowiem te należące do obozu „Solidarności”, jak i te z PZPR zawarły przy Okrągłym Stole kompromis, kontynuowany w Sejmie „kontraktowym”, który działał na szkodę pracowników niezależnie od ich afiliacji związkowej. Prywatyzacja oznaczała przede wszystkim zwolnienia grupowe i ogólnie wzrost bezrobocia oraz zmniejszenie siły nabywczej społeczeństwa. Każdy z partnerów tego kompromisu mógł winą za

wspólny skok na kasę obarczyć drugą stronę, wołając „łapaj złodzieja”, aby wymigać się od odpowiedzialności przed własnym zapleczem wyborczym.

Dziś, gdy z racji upływu czasu tamten konflikt wygasa, zastąpiono go nowym, również zastępczym podziałem na Polskę nowoczesną, europejską oraz tę zacofaną, klerykalną, „moherową”. Takie sztuczne konflikty mają do tego stopnia zawładnąć zbiorową wyobraźnię, by nie pojawiły się w debacie publicznej sprawy najważniejsze, decydujące o stratyfikacji społecznej, społecznym podziale pracy i dystrybucji dochodu narodowego. Żaden z głównych aktorów sceny politycznej, żadna z obecnych w Parlamencie partii nie podważa milczącego konsensusu, w ramach którego w debacie porusza się kwestie drugorzędne, odsuwając zasadnicze na dalszy plan. Bo w tych ostatnich są one niemal jednomyślne.

Zamieszanie w ludzkich głowach jest już dziś tak wielkie, że coraz większy posłuch znajdują nawoływania do jedności sił politycznych dla dobra kraju. Wrażenie powszechnego konfliktu i nieustających kłótni każe ludziom upatrywać przyczyny ich trudnej sytuacji raczej w sporach niż w faktycznej jednomyślności klasy politycznej, która pod osłoną udawanych utarczek wspólnie służy interesom grup uprzywilejowanych. Hałaśliwy, oparty na brutalnej retoryce styl uprawiania polityki, gdzie rzeczowa dyskusja jest nie do pomyslenia, sprawia, że to politycy są obiektem największej niechęci ze strony opinii publicznej, a nie ich mocodawcy, którzy dzięki tak ukształtowanemu systemowi politycznemu mogą zawsze liczyć na tanią i zdyscyplinowaną siłę roboczą.

Dopóki nie pojmą, że linia podziału przebiega między bogatymi i biednymi, elitą władzy i pieniądza a światem pracy, Polacy będą zniewoleni i niezdolni do wywalczenia sprawiedliwszego podziału dochodu narodowego. Państwo, które stało się w najbardziej bezczelny z możliwych sposobów „komitetem wykonawczym interesów burżuazji”, jest znienawidzone. Dlatego dobro publiczne ustępuje miejsca prywacie, wyznaczającej

horyzont myślowy mas, które tylko w ramach Rei Publicae mają szanse na godne życie. To daje elicie oręż do ograniczania i tak już skromnej daniny publicznej, która jest na nią nałożona. Ta logika sprawia, że wszelkie podatki jawią się jako zło, a stąd już krok np. do prywatyzacji służby zdrowia.

Ci sami ludzie, którzy utożsamiając się z robiącą im wodę z mózgu elitą, nie chcą zwiększenia podatków dla bogatych, nie aprobują też wycofywania się państwa z usług społecznych i innych form opiekuńczych. Popierają więc przyczynę, dla której jest coraz mniej państwa, nie godząc się z logicznymi konsekwencjami takiej antypaństwowej postawy. Każda próba „uspołecznienia państwa” musi się więc wiązać z rewolucyjnym zrywem na miarę Sierpnia’80. Tylko wtedy, gdy ludzie poczują, że mają realny wpływ na sprawy publiczne, zaczną myśleć o swym kraju „my”, a nie „oni”. Największym wrogiem na tej drodze jest „policja myśli” obecna tak w mediach, jak i w systemie edukacji. Należą też do niej sponsorowane przez elitę think tanki w rodzaju Fundacji Batorego czy „Krytyki Politycznej”.

Obecne na scenie politycznej partie stanowią zgodne konsorcjum władzy, działające w imię przywilejów i rosnących przepaści społecznych, dlatego nie należy z nimi, niezależnie od scenariuszy koalicyjnych, wiązać żadnych nadziei na poprawę losu większości obywateli. Potrzeba społecznej lewicy, która zorganizuje ruch poza obecnym systemem parlamentarnym i dopiero z pozycji siły przystąpi do szturm na Pałac Zimowy. Instrumentem tego szturm może być kartka wyborcza, ale siłą – jedynie masowy opór wobec wyniszczającego tkankę społeczną, głęboko odhumanizowanego systemu ucisku i wyzysku, który panuje w Polsce. I tylko pod takim warunkiem dojdzie z czasem do tego, że większość wygra wybory.

Autor: Piotr Ikonowicz

Źródło: [Nowy Obywatel](#)